

MARJA KONOPNICKA

HRABIĄTKO

JAK SUZIN ZGINAŁ

Biblioteka Gimnazja im. St. Staszica w Warszawie  
uczniowska 1804  
nauczyc.  
Data zakupu 15. XI. 1928 11. 1804  
Cena 0.35



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

# Hrabiątko. Jak Suzin zginął

**Maria Konopnicka**



**Gebethner i Wolff, Kraków, 1924**

**Pobrano z Wikizródeł dnia 25.06.2018**

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW  
LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ — 231

---

---

MARJA KONOPNICKA

---

HRABIĄTKO

---

JAK SUZIN ZGINAŁ




NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

## SKŁADY GŁÓWNE:

»THE POLISH BOOK IMPORTING CO, INC.« NEW YORK  
»KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP AKC.« KATOWICE

---

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI  
1924

 Tekst jest [własnością publiczną \(public domain\)](#). Szczegóły licencji na stronie autora: [Maria Konopnicka](#).

## HRABIĄTKO.

Od trzech tygodni prawie że nie zsiadaliśmy z koni.

— Koń lepszy, niż broń! — mawiał Różycki, klepiąc swojego kasztana po szyi.

A kasztan prychał radośnie i, wygiąwszy kark pysznym łukiem, skrobał kopytem ziemię.

Różycki śmiał się.

— Ot łoszak<sup>[1]</sup> — mówił. — Na własnych »szczotach«<sup>[2]</sup> wybija dzień i godzinę, kiedy mi ugryźć przyjdzie wołyńskiego piasku.

— Wołyńskiej gliny — poprawił Dzwonkowski, który między mną a Różyckim jadąc, ponuro patrzył w ciężką, ubitą ziemię. Wczoraj pod Łaszkami wziął szaszka<sup>[3]</sup> kozacką w ramię, a choć cięcie było miękkie i nie ruszyło kości, zdesperował nagle, i gdyby nie to, że nam finlandzcy strzelcy po piętach niemal od Miropola deptali, do Lubaru wracać chciał, żeby go ojcowie Dominikanie w konwencie<sup>[4]</sup> swoim leczyli.

Różycki rachował tymczasem. Nigdy wszakże dorachować nie mógł. Nagle wpośród polskie liczby wpadał mu jakiś »sorok«<sup>[5]</sup>, albo jakies »dwadcat'«<sup>[6]</sup>, a wtedy spluwał i klął.

Małym chłopcem matce odjęty, w Petersburgu w kadetach<sup>[7]</sup> chowany, późno wyuczył się Edmund Różycki<sup>[8]</sup> ojczyściej mowy. W junkierskich galonach<sup>[9]</sup> już coś, czy też później jeszcze. Aż kiedy się o wybuchu powstania<sup>[10]</sup> dowiedział, zdarł oficerskie szlify i przepadł z nad Newy, wiosną dopiero wynurzywszy się w okolicach Żytomierza, pod Pustochą, jako dowódca blisko dwutysięcznej jazdy.

Był to piękny mężczyzna. Czapa na nim wysoka, barania. Świtka biała, za pasem pistolety. U czapy sterczące pióro.

Cztery szwadrony nas było, a jeszcze ludzie szli. Nie chłopci wszakże. Szła szlachta, szli oficjaliści, było też trochę łyków<sup>[11]</sup> ze Starokonstantynowa i z Zasławia. Jaki taki chwycił konia ze stajni albo i z pastwiska, piętami w boki i hajże do »wołyńskiej jazdy!« Ekonomów, gajowych, pisarczyków, gorzelanych ze świecą wtedy po wsiach szukać było, tak gęsto dworski naród pod Różyckiego szedł.

Ale się i piesi cisnęli. Z tymi była bieda, gdyż broń nie starczała.

— Dajcie wy mi święty spokój! — krzyczał, chwytając się za głowę, Różycki. — Cóż ja was radi Boha<sup>[12]</sup>, na rzeź będę prowadził? Nie masz pałasza, to rożen z kuchni bierz, a z gołą garścią mi tu nie leż!

Dopiero kiedy się generał z pułkownikiem Ciechońskim rozchodził u Koskowickich borów, wziął sobie Ciechoński piechurów owych, a u nas się tylko coś z pięćdziesięciu przy furgonach zostało.

Konie mieliśmy dobre. Ogromne trawy rzuciły się w łąkach tej wiosny, a i owsa też nam hojno sypano po drodze.

Osobliwie wszakże tęgiego ogra<sup>[13]</sup> miało pod sobą Hrabiańtko.

Chłopczyna sam wąły, niewyrosty, szczupły, biały i różowy, jak dziewczyna. Ot sokolątko ze sławnego gniazda, tylko że w pałkach jeszcze i bezpióre.

Był z bratem. Wielki ród, wielkie imię, wielka też powinność ojczyźnie.

I starszy miał pod sobą klacz cenną, na której osobliwsze

chody napatrzeć my się nie mogli.

Ale skarogniady ogier »Hrabiątka« był koń wprost hetmański.

Gwałtowny raczej niż piękny, potężnego składu, nozdrza na wiatr, grzywa, jak strumień, szumiała mu z karku, łeb suchy, nogi, jak struny, pod cienką skórą widne żył drgających bicie. Jeden to był z tych koni, co w dziesiątym pokoleniu jeszcze węższą step i tabun.

— Już ten ma niańkę!... — mawiał Różycki, patrząc na »Hrabiątka«, którego mało co i widać było na potężnym ogrze.

— W pieluchach matce detynę<sup>[14]</sup> to odniesie...

A Malewski rotmistrz:

— At! Gdzie tu kadencja<sup>[15]</sup> jaka!... Taki jeździec do takiego konia!

I splunął.

Powiem prawdę, z »Hrabiątka« podrwiwaliśmy potrosze wszyscy. Ale go ludzie lubili. Takie to było subtelne<sup>[16]</sup>, delikatne, a takie ugrzecznione, ciche.

Jenerał zrazu przyjąć go do partji nie chciał.

— Do Mamy! Do Mamy! Na pokoje! — wołał, opędzając się ręką, jakoby od osy. — Tu cukierków nie dają. Nie!

Ale się Hrabiątka uparło: Z bratem, i z bratem. Tak został.

Zrazu kozaczka luźnego<sup>[17]</sup> przy sobie panicz miał, który jemu i koniom służył. Gdy się wszakże po obozie obejrzał, że to tam każdy sam pan i sam sługa, a jenerał także, dał w garść kozaczkowi zapaśną króćcę<sup>[18]</sup> i do furgonów go posłał.

Już od Połonnego coś sam czyścił ogra, sam poił, sam karmił i siodłał.

Śmiechu było z tego, że to na wóz czterokonny nie zabrałby,

bo mu to szło — at!... jak żydowi rola.

— Patrz, patrz, jak się Hrabiaćko na pazury bierze!... Patrz, patrz, jaki to Hryć z Hrabiaćka!

I tak kołem...

A on chłopaczyna czerwienił się, udawał, że nie słyszy, i swoje. Chciałem pomóc nieraz: nie dawał.

— Ja sam!... Ja sam!... Ja wszystko sam!

Ano, dobrze.

.....

Kończył się maj.

Za nami leżał Lubar, leżało Połonne, leżał Miropol, wszystko dnie sławne dla Wołyńskiej Jazdy. Ale po miropolskiej bitwie, gdzieśmy razem z Zasławczykami nieprzyjaciela znieśli, puścił się Różycki w pilne i długie marsze za wymykającym się mu Szemiakinem, korzystając z tego, że finlandzkich strzelców Zasławska partja trzymała na sobie. Przez osiem dni tedy tyleśmy postoju mieli, co pod Łaszkami, gdzieśmy też przepędzili kozactwo.

I konie, i ludzie strasznie to było strudzone. Ani zsiąść, ani wytchnąć, ani przepoprzężyć; strach, co za mitręga!

Hrabiaćko zmizerowało się prawie że do niepoznania. Z owej to białej, różem lukrowanej łątki<sup>[19]</sup> zrobiło się wyschłe, czarne, postarzałe, czerkieska<sup>[20]</sup> na tem, jak na kołku, twarz zapadła, oczy wielkie, smutne, gorące.

— Na mleczko! Na mleczko do Mamy! — żartował Różycki, gdy go tak wyciągniętym zobaczył.

Hrabiaćko przygryzło wargi.



.....

Dzień był parny, duszny, ku burzy się miało. Tuman kurzawy kłębił się po drodze. Konie rzucały łbami, wyparskując pyły.

Pod wieczór zaciągnęło się niebo het, dokoła. Zrobił się nagły mrok, ptactwo polatywało niespokojnie, trawy były wyschłe, pragnące, wielkie zboża sterczały po stronach nieruchomą ścianą.

— Aby do Salichy!... Aby do Salichy! — przemówił rotmistrz Malewski, zwróciwszy się do nas.

A już konie utykać zaczęły. Chcieliśmy z siodeł zsiąść, żeby zwierzętom ulżyć nieco. Zaledwie wszakże Dzwonkowski, stękając, złązić zaczął, kiedy generał obejrzał się, brwi ściągnął, krzyknął: »Marsz!« i poprzód koniem ruszył. Musieliśmy za nim.

Ale jeszcze pierwszy pluton nie dojechał do stojącego na uwrocie<sup>[21]</sup> krzyża, kiedy się zboże zaruszało, a mały chłopak oklep na źrebaku wynurzył się z niego i, złożonywszy ręce przy ustach, huknął:

— ...Sołdaty we wsi!...

Poczem przepadł, jakby go nie było.

Skoczył Malewski, skoczył Baranowski i inni, rotmistrzowie poszeptali z wodzem, i ruszyliśmy stępa, w bok nieco poza faliste wzgórza się biorąc, które między nami a Salichą stały.

Tymczasem zaczęło pogrzmiwać. Zrazu zdaleka, potem bliżej coraz. Szła burza. Gęsty mrok opuścił się teraz na ziemię. Przeszywały go błyskawice nagłe, rażące.

Zawichrzyły się zboża, grube krople deszczu zaczęły kapać, rzadkie i ciężkie.

Hrabiątko jechało tuż przy mnie. Z trudnością wstrzymywał swego ogromnego ogra, który się wspinał i rżał w pole.

Nigdzie głos nie rozlega się tak szeroko i tak osobliwie, jak w wołyńskim polu. Wzgórza podają go dolinom, a doliny wzgórzom, przeciągłem, słabnącem i znów wzmagającym się echem. Wprost jakby kto organu w pustej nawie tknął...

Nagle oślepił nas, ogłuszył błysk i huk. Piorun uderzył gdzieś blisko.

Nigdy nie zapomnę Różyckiego w tej chwili.

Zdjął czapkę, białe jego czoło zaświeciło w mroku, wbił w niebo oczy siwe, wielkimi ogniami płonące:

— Komu ten grom, Boże Wszchemogący? — zawołał silnym głosem. — Nam, czy im, Panie?

— Im!... Im!... — krzyknęli nasi.

Hrabiątko zbladło, jak chusta.

Jenerał podjechał ku nam już z dobrą fantazją.

— A co? — zapytał. — Strach...

Na chłopca buchnęły ognie. Spuścił oczy i rzekł cichym głosem:

— Nie, jenerale! Niema strachu!

A wtem lunął deszcz nawałny.

Różycki się śmiał.

— No, — rzekł — na dziś im się upiecze! Szemiakin w taki psi czas nie wylezie z budy. Zaraz za górką staniemy. Ognia i dymu tyle, co z fajki albo z cygara! Kto chce spać — może, ale u kulbaki. Pikiety<sup>[22]</sup> wzdłuż żyta aż przed wieś. A jutro im krzykniemy na dzień dobry! Co?... Do widzenia, panowie!

Salutował nas ręką, chcieliśmy mu przyhuknąć, ale dał znak, żeby nie. Zawracał konia, kiedy Hrabiątko ruszyło ogrem ku

niemu.

— Panie jenerale!

— A co tam, detyno?...

— Ja... ja chciałbym... Jabym prosił, żeby mnie jenerał do pierwszego plutonu odkomenderował.

— Co?... Co?... Co?... — wołał Różycki, cofając się z koniem. — Pierwszy pluton nie dla dzieci!

I, nie słuchając dłużej, skoczył rysią<sup>[23]</sup>.

.....

Rzadko tak pięknej bitwy, jak ta pod Salichą. Ranek po burzy był cudny. Ziemia w rosach świeżych. Pozycja nasza wyborna.

Na górze, dla zwrócenia ognia na siebie, rozwinął front pierwszy pluton, który zawsze ochotnika dawał, długą, lekko wklęsłą linią. Drugi stał za nim rezerwą<sup>[24]</sup> w pewnym oddaleniu.

Trzeci i czwarty po obu stronach wzgórza zachodziły flankiem<sup>[25]</sup> ku wsi, nakryte wyrosłemi, jak trzcina, zbożami. Furgony stały na tyłach pod wzgórzem.

Musiał Szemiakin w nocy jeszcze powziąć o nas języka, bo się sformował od wczesnego rana.

Na równi stał, w sile czterech kompanij piechoty i czterech sotni kozaków, mając za sobą wieś i płynący przez nią szumnie po wczorajszej ulewie Hniłopiat.

Widzieliśmy wszystko, jak na dłoni, nawet bez lunety. Ranne słońce zapalało iskry na sztykach<sup>[26]</sup> piechoty i na

kozackich lancach. Sam Szemiakin, otoczony sztabem, stał u pierwszych płotów.

Zahuczały w dole bębny, zagrały im odzew trąbki nasze. Stanęliśmy w strzemionach pochyleni, naprzód podani, krótko zebrawszy cugle, gotowi do skoku.

Piechota Szemiakina posuwała się ku nam głęboką, czarną kolumną.

Adjutant przeleciał front. Kolumna stanęła na odległość karabinowego strzału.

Zaczerniały gęstym płotem wytknięte lufy. Źle było celować. Żołnierze mieli słońce wprost w oczy. Mżący blask ich ślepił.

Oficer podniósł pałasz, zabrzmiała komenda.

Ale w tej samej chwili lufy drgnęły, strzały poszły dołem, kolumna się zmieszała. To flanki<sup>[27]</sup> nasze, oskrzydliwszy piechotę, wynurzyły się nagle ze zboża i z trzaskiem na nią wpadły. Mignęła w modrem powietrzu szabla Różyckiego świetną błyskawicą.

— Bij, zabij!... — huknął gromko i skoczył wdół z koniem.

Runęliśmy za nim, jak piorun.

Na dole wrzała bitwa. Piechota Szemiakina formowała trójkąt w pośpiechu i w zamieszaniu. Bębny, kwik koni, wrzask walczących głużyły komendę.

Nagle posłyszałem za sobą potężne rzenie ogra. Głos ten znaliśmy wszyscy. Cała wolność, cała dawność rasy w nim była. Nic, tylko bojowa surma<sup>[28]</sup>, gdzieś z pod Cecory jeszcze... Zwróciłem głowę.

W ogromnych szczupakach<sup>[29]</sup> leciał ogier z Hrabiątkiem wprost na nas. Chłopiec w siodle schylony, blade, z rozwianym

włosem, wzrok miał pałający, pałasz wyniesiony wysoko nad głowę. Ot nic, tylko święty Jerzy, kiedy w smoka godzi.

Przesadził niewielką przestrzeń, wparł się w nasze szeregi, miałem go tuż w pobliżu przez mgnienie.

— Ha!... Ha!... — zakrzyknął, prąc kolanami ogra, i przeleciał wichrem. Czapka spadła mu z głowy, pęd podwiał czerkieskę. Sokolątko dostało nagle ogromnych, piorunowych lotów.

Już błysnął pałasz jego na frontowej linii. Otarł się ogier bok w bok o konia Różyckiego, złamał linię, wyniósł się przed nią i wprost na wroga leciał.

Błysnęło wzdłuż kolumny, huknęły strzały salwą.

Dym zakrył świat.

Gdy opadł, ujrzałem znowu i konia i jeźdźca.

Hrabiątko trzymało się grzywy, leżąc prawie na niej. Ogier rżał ogromnym głosem.

Nagle okręcił się, zawrócił i ku sztabowi pędził. »Niańka« odnosiła »detynę«.

Prawie że u nóg Różyckiego spadło Hrabiątko z siodła. Krew buchnęła mu z piersi. Żył jeszcze.

Skoczył Różycki i, jak dziecko, na ręce go porwał.

.....

Grały gdzieś dzwony na Anioł Pański, a Szemiakin z niedobitkami daleko za Hniłopiat uchodził, kiedy nasz pierwszy ochotniczy pluton szablami płytki dół dla Hrabiątko kopał.

Niejedna łza tam padła z tych twardych oczu w ziemię, gdyśmy go tak zobaczyli wyciągniętym, zmizerowanym po

śmierci, w podziurawionej od strzałów czerkiesce. Pięć kul w piersi wziął, jak stary, dzielny żołnierz.


Różycki stał nad dołem, oczy w ziemię wbił i wąsa targał. Z dalekim głosem dzwonów mieszało się żalosne, przeciągłe rzenie.



## Przypisy

1. ↑ Łoszak — żrebak.
2. ↑ Szczoty (rosyjsk.) — liczydło, rachownica — ramki z żelaznymi prętami, na których umieszczone są przesuwane kółka drewniane, ułatwiające liczenie.
3. ↑ Szaszka — szabla (rosyjsk.).
4. ↑ Konwent — zakon, klasztor.
5. ↑ Sorok — czterdzieści (rosyjsk.).
6. ↑ Dwadcat' — dwadzieścia (rosyjsk.).
7. ↑ W szkole, in. w korpusie kadetów; kadet — kandydat na oficera, podchorąży.
8. ↑ Syn gen. Karola Różyckiego, jednego z wodzów w powstaniu listopadowym 1830/31 r.
9. ↑ Jako junkier, kandydat na oficera.
10. ↑ Powstanie r. 1863.
11. ↑ Łyk — mieszczanin.
12. ↑ Radi Boha — po rosyjsku: dla Boga! na Boga!
13. ↑ Ogra — 2 przyp. l. p. od ogier, forma staropolska.
14. ↑ Dziecinę.
15. ↑ Miara, umiar; wyraz kadencja w takim znaczeniu mało używany.
16. ↑ Drobne, wątle.
17. ↑ Nie należącego do wojska.
18. ↑ Krócica — pistolet, mała strzelba.
19. ↑ Łątka — lalka dziecięca.

20. ↑ Surdut, obcisły w stanie, z długimi połami, na wzór ubioru Czerkiesów.
21. ↑ Na zakręcie.
22. ↑ Pikieta — mały oddział żołnierzy, stojący na straży.
23. ↑ Rysią — kłusem (z rosyjsk.).
24. ↑ Rezerwa — oddział zapasowy.
25. ↑ Flank — bok.
26. ↑ Sztyk — bagnet.
27. ↑ Boczne skrzydła wojska.
28. ↑ Starodawna trąba metalowa, obszyta w skórę.
29. ↑ Susami, skokami.

 Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Maria Konopnicka](#).

## JAK SUZIN ZGINĄŁ.

Z pod Pren, gdzie zaszła lekka potyczka, ot, pierwsze zagrzmienie przed burzą, ściągnął Suzin nasz oddział i wbok od traktu ruszył, skąd czerniały bory.

Szedł spieszno.

Traktem waliła gwardja, coś osiem tysięcy żołnierza, prosto na Staciszki.

Że idzie walna bitwa, czuliśmy to wszyscy.

Jakoż, po forsownym marszu, oparł się Suzin o bory i czekał.

Nie była nas moc. Ale duch tak zwarty jedną srogą wolą, że po ściśniętych nią, stwardniałych sercach, kulęby przetoczył.

Tworzył oddział nasz czwartą, może piątą nawet część ogólnej siły powstańczej w Augustowskiem, której sile przywodził naczelnej Romatowicz.

Ten, ruszywszy lud od Sejn, Marjampola, Kalwarji, do Augustowa, pod imieniem Wawra w partyzantkę<sup>[1]</sup> się rzucił, o dobór oficerów nad wszystko troskliwy.

— Sokołów mi trzeba! — mówił. — Sokoły lud porwą i w szponach poniosą!

Ale mu się nie wszyscy udali.

My pod Suzinem szpon ten czuli tego. Nie bolem, ale gorącością i pędem go czuli. Palił, rwał wgórze przed siebie, a często nad siebie. W bój, to w bój; w śmierć, to w śmierć, aby górnje, bohatersko, pięknie.

Sam Suzin też stworzony był jakby na to, żeby go ludzie kochali i szli w ogień za nim.

Smukły, dorodny szatyn, twarz biała, w kolorach, broda pełna, włos bujny, oko żywe, pogodne, daleko widzące. Wódz



w każdym calu i ukochanie żołnierzy, dbały o najlichszego ciurę, jak brat i jak ojciec.

— Na śmierć was mam, ale nie na zmarnowanie! — powiadał.

Na całym też obszarze ziemi polsko-litewskiej nie było chyba tak dzielnej partji<sup>[2]</sup>, jak nasza.

Szczególnie my, strzelcy.

Porównu w szare kurty powstańcze odziani, przepasani czarnymi pasy, mieliśmy sztucery<sup>[3]</sup> belgijskie, bijące tak, że, ledwoś cel upatrzył a cyngła ruszył — trup.

Podrobna szlachta, której tam w owych stronach, jak maku, nie wierzyła zrazu tej broni. Sztucer sztucerem, a każdy z ichmościów wolał kozią nogę<sup>[4]</sup>, z której przywykł na podorach do zajęcy pukać, i tej dufał nadewszystko inne.

Dopiero kiedy młody Suda i Konewicz Jakób, zadawszy sobie niehonor rodowy, przed Prenami jeszcze, do pojedynku, choć tego mocny zakaz był, przyszli, odmieniło się owo dufanie. Ci bowiem adwersarze<sup>[5]</sup>, nie chcąc się na śmierć uszkodzić, że to wtedy każdy żywot ojczyźnie patrzył, własnych poniechawszy fuzyjek, a sztucerów się, jako nie tak zabójczej, w ich mniemaniu, broni chwyciwszy, obaj, idąc ku sobie, na komendę strzelający, legli.

Zaczem buchnęło po szlachcie tak wysokie i pewne o broni tej rozumienie, iż sztucery, jak sakrament, z nabożeństwem brała, stojąc pod niemi jak mur i jak twierdza.

Takeśmy też stanęli pod onych borów ścianą, miawszy za sobą kosynierów od Augustowa.

Chłopy to były niegwałtem<sup>[6]</sup> wielkie, zawiedłe, śmiałe, suchożyłe, a tak zwarte w sobie, jak żywiczna miazga.

Nie nosił lud ten naszych kurt powstańczych, ale jak we lnach biało odzian z chat w postołach<sup>[7]</sup> wyszedł, tak się we lnach został, który z płachetką przez plecy, który z misternie plecioną kobiałką, milczący, zadumany, z brzeszczotem<sup>[8]</sup> na sztorc przed sobą, bielał skroś sosen borowych jak brzeźniak w wiośnianej korze.

Ci patrzyli w Suzina, jak w Boga.

Suzin czekał.

Sam bitwy przyjąćby nie mógł, ale z posiłkowemi oddziałami, których zadaniem było zająć nieprzyjacielowi tyły i sprawić dywersję<sup>[9]</sup> — mógł. Pozycja przytem była dobra, a rozłożenie sił naszych, jak najprzyjaźniejsze.

Ten twardy trzon boru, na którym my stali, zniżał się ku południo-zachodowi w przepaść bagnistą, w trzęsawiska oparem błot grząskich nakryte, które ubezpieczały nam tyły.

Po drugiej stronie traktu, oddział Kijańskiego nad jeziorem Driste stał, tak schowany głęboko w mokradłach, że wyskoczyć z nich mógł, jak z zasadzki i w pierw uderzyć, nimby był dostrzeżon.

Powyżej Kijańskiego stał Lander jakoby w fortecy, obwarowany błotami nie do przebycia, że tylko przed siebie mógł, by wpaść na kark nieprzyjacielowi, sekundując<sup>[10]</sup> nam w bitwie, co też tak z nim, jak i z Kijańskim umówione było.

Dopiero nad obiema placówkami temi, nad całym tym parującym we mgłach, pojeziornym światem, zasiadł się po zalesionem rozwidlu Wronogór sam Wawer, z główną swoją siłą.

Otóż tę to główną siłę, a i samego Wawra, mniemał nieprzyjaciel, idąc na Suzina, przed sobą mieć i z nimi czynić.

Inaczej nie byłby parł na nasz oddział, aż w takiej potędze.

— Ha, tak będziemy udawać tysiące! — rzekł do mnie Suzin, odstępując od zatkniętej na granicznym kopcu lunety, przez którą wżerał się gorejącem okiem w rudy tuman niosącej się traktem kurzawy, skroś której gęsto błyskały sztyki<sup>[11]</sup> pod zachodnie słońce.

I nagle, zwróciwszy się do mnie, dodał serdecznie:

— Zastąp mnie, druhu, przy lunecie i rachuj przerwy w kurzawie. Tak ich się najłatwiej doliczysz. Rotami wałą...

— Ja zaraz tu... Tylko list. Od rana list noszę, z opatrunkami dostany. Czasu nie było czytać. Bądź łaskaw... Ja zaraz...

Zaledwie jednak naliczyłem trzy przerwy, był już przy mnie. Pobladł, ręce mu trochę latały.

— Dziękuję! — rzekł, a głos mu się łamał. I po chwili:

— Matka pisze... Brat pisze...

— Zdrowi?

Nie odpowiedział, tylko pilno przez lunetę patrzeć zaczął.

— Wałą... — mówił półgłosem, — okrutną kupą wałą... Co tu ludzkiego życia... Boże! Boże!

Naraz odwrócił głowę.

— Brat, wiesz, w domu dotąd. Pisze »Gdyby to wiedzieć!«

Roześmiał się krótkim, przykrym śmiechem.

— Ha! Ha! »Gdyby to wiedzieć...« Ostrożny, co? A młodszy ode mnie... Rozumny... Co? A ja ci powiadam, Janie, gdybym wiedział, wyjdę cało ze sprawy, tobym sobie zgóry w łeb palnął. Wiesz... Apostolczyk... nie noszę broni... Alebym się ten jeden raz sprzeniewierzył.

Pomilczał mało:

— Bo sprawa... Sprawa, widzisz, bracie, musi być w takich

warunkach przegrana. Ale musi być bohatersko przegrana, żeby się do tej przegranej paliły serca ludzkie, jak do największego zwycięstwa. Wiem jednak, że nie wyjdę cało. Matka też nie. Żegna mnie. Na śmierć mnie żegna, matczyśko...

Odrzucił włosy z jasnego czoła żywym, pięknym ruchem i spojrział przenikliwie, górną, daleko...

— Hej, kulo, kulko sądzona! — zawołał. — Bij jak w jasną świecę.

W tej chwili przybiegł Birsztejn, adjutant Suzina.

— Pułkowniku! — rzekł. — Mamy ze Staciszek języka. Sztab zajął karczmę na trakcie. Jenerały, starszyzna, licho wie, co... Zawalili podwodami pół wsi...

— Więc to tu — przemówił Suzin, jakby sam do siebie, przyćmionym głosem i z nagłą zadumą.

Otrząsnął się wszakże zaraz, głowę podniósł i z wielką żywością jął Birsztejnowi polecenia dawać.

— Co tchu na Leśniczówkę! Stary Bułhak przebierze się błotami do samych Bobrownik, a młody na Dobkiszki niech rusza. Ludzie pewni, jak śmierć. Niech Lander i Kijański czynią, jako wiedzą.

Jutro bitwa. Niech spieszą. Lander do Wawra niech zaufanego pchnie. W dwa ognie musimy ich wziąć. Prędko, prędko, prędko!...

I, odprawivszy adjutanta, do lunety się rzucił.

Jakoż istotnie dał się widzieć teraz ruch niezwykły. Ciężka kurzawa na trakcie to zbijała się w grube kłęby, to znowu dzieliła. Pomiędzy nią a punktem, oznaczającym karczmę, unosiły się i przepadały małe chmurki pyłów za latającymi konno oficerami od sztabu do wojska.

Nagle wielki słup pyłów, który wieczorna rosa już była

nieczo przybiła do ziemi, dźwignął się znów potężnie, skłębił, naprężył, wydłużył, rozerwał i lewym skrzydłem wstecz ku borom powiał.

— Otoczyć nas chcą — szepnął Suzin wzruszonym głosem.  
— Borami obejść...

Zmełł jakąś kłatwę w zębach i, skoczywszy z kopca, biegł ku kosynierom.

A już zapadła krótka noc czerwcową. Ozwały się błota rozgłośnym rechotem żabim, buchnęły oczerety<sup>[12]</sup> różnojęzyczną wrzawą nawodnego ptactwa, które, ruszone obozowym gwarem, polatywało niespokojne, krzykiem, świstem, buczeniem oznajmując trwogę. Zapadły wreszcie wrzaskliwe stadka po wyżarach<sup>[13]</sup>, po oparzeliskach<sup>[14]</sup>, acz i stamtąd szyły powietrze przenikliwe głosy bąków, nurów, kruków.

A bór milczał.

Niemo stał w głębokościach swoich pod bezgwiezdne niebem, potłumion nocną ciszą. Powietrze było jakieś gęste, lepkie. Ciepłym tchem bagien, to znów dreszczem rwane, jakby w nie dmuchała febra.

Zaniosły się od czasu do czasu wielkodrzewy górnym, krótkim szumem, od wierzchoła do wierzchoła lecącym, ale wnet szum się urywał, spadał i grzęznął w bezruchu. Na gołoborzu<sup>[15]</sup> rozpalono ogień, iż wielkie, zjadliwe komary chmurami leciały na nas, ale nie gotowano posiłku.

Ludzie, zmordowani skwarem i pośpiesznym całodziennym marszem, upadli w sen kamienny. Inni czyścili broń, insi pogrążeni w sobie milczeli rozciągnięci u ognia. Gęsto rozstawiona pikietą<sup>[16]</sup> obwoływała się czujnie.

Ciężko było na duszy, ciężko i piersiom dyszeć.

Ot, jakby te pyły nad gościńcem wzbite, zasypały nam gardła i piersi. Takiego przygnębienia u żołnierza nie widziałem jeszcze przed żadną batalją.

Aż buchnął gniew z tej ciszy drętwej, z tego dławiącego oczekiwania buchnęła żądza odwetu i ta nienawiść do nieprzyjaciela, która żołnierza straszliwym w walce czyni. Zrywali się ludzie od ognia z klątwą, z zaciśniętymi pięściami, i w paroksyzmie wściekłości w bór biegli, nie mogąc pohamować gorączki, która ich paliła.

Porucznik Jaczynowski na własne ryzyko chciał formować wycieczkę nocną na Staciszki. Ochotników nie brakło. Z największym trudem ledwośmy go z Birsztejnem od tej imprezy odwiedli.

Suzina nie było przy nas na tę porę.

Na drugim końcu boru, od strony błot, u ogniska z kosynierami siedział, których szczególnie umiłował sobie.

Nie mówił do nich inaczej, jak: »Dzieci«. Imiona ich znał, po litewsku do nich gadał, wiedział, który z jakiej wioski i z jakiej sadyby.

— Hej — wołał — Wejмеры! Szautupie! Panżyszki! Widgajły, Kreszczany! Kulwiecie moje!...

A ów naród śmiał się do niego jasnymi oczyma, jakoby do słońca. Kochali go nad wszelkie powiedzenie.

I teraz gwarno tam u nich było i rozgłośnie przy stosie płonących bierwion smolnych.

Stary Jurkszta śpiewał jakąś pieśń odwieczną, która topiła w rzewności te twarde osierdzia<sup>[17]</sup>, a ciemny płomień buchał w surowych, nieruchomych twarzach.

Rumieniało niebo na wschodzie, kiedy się Suzin od ogniska podniósł.

— No, dzieci! — rzekł. — Naśpiewaliśmy się dziadom i pradziadom w cześć, pogrzali serca u tego świętego ognia, przytulili się do tej matki-ziemi, a teraz będziemy się bili za nią. Za jej wolność. Za jej życie. Za jej miłowanie. Amen.

— A-men! — odgrzmiały setne głosy. Grzmot ich huknął po boru, jak burza.

— Obejść nas błotami chcą, obkroczyć — mówił Suzin. — Ale się nie damy.

— Nie damy! Na śmierć nie damy.

Plunęli w garście, z miejsca po kosiska ruszywszy.

— Pomrzemy za ciebie... — rzekł drżącym głosem stary Jurkszta, chyląc się do kolan Suzina. Ale on otworzył ramiona i uściskał dziada.

A kiedy kosynierzy, zdjawszy czapy uszate, na uścisk ten z nabożeństwem patrzyli —

— Surma!<sup>[18]</sup> — krzyknął — zaduwaj!<sup>[19]</sup>

— Za-du-waj! — gruchnęły echem przeciągłe, roznośne głosy, podając sobie rozkaz wodza coraz dalej, dalej, aż do pierwszej czaty.

I nagle, z głębokich gdzieś, błotnych zapaści, z kęp, na których sity<sup>[20]</sup> wyprostowane nieruchomo stały, ozwało się przejmujące nawoływanie prostej litewskiej surmy, wypełniając bór pobudką starowieczną, razem twardą i rzewliwą, razem żalną i srogą. Zaraz też Suzin zaczął pod tą pobudką szyk sprawiać.

Stały kosynierzyki sekcjami, dając czoło kępom, zarosłym szuwarem, po których słał się najsuchszy, na wejście,

przystęp ku borowi, zasłonieni kosami tak, że wschodzące słońce zawrzało tysiącem świątynych błyskawic w nastawionych sztorcem brzeszczotach.

— Wara! — krzyknął im Suzin odzew.

— Wa-ra! — odgrzmiały mu głosy, które już z pożądania bójki chrapliwe się stawały.

A on, bystro ludziom po oczach pojrzawszy, jakby w każdej źrenicy iskrę własnym wzrokiem chciał skrzesać, ku strzelcom skoczył, którzy też wnet rozwinęli długą linię frontu, oskrzydłając nią dwie borowe, pod kątem zwieszające się ściany, właśnie jakgdyby orzeł rozkrzyżował po sosnach swe potężne buje<sup>[21]</sup>, piersią i dziobem w pośrodku grożąc.

A nam też krew po sercach jęła grać, zatrzęsły się szczęki, zęby zgrzytły, a w garściach, ściskających sztucery, dał się słyszeć suchy chrobot kości.

Suzin przechodził przed frontem od ściany do ściany, jasny, pogodny, niosący z sobą moc, pewność i bojowy zapał.

Elektryzował wprost powietrze, którem my dyszeli.

Podnosiły się piersi, oczy na jego widok gorzały, uniesienie było ogniem ze wszystkich junackich twarzy. A kiedy pogłos: »Idą!« — gruchnął po szeregach, naprężenie nerwów i napięcie mięśni stało się tak silne, że aż bolesne prawie. Jeszcze chwila, a bylibyśmy, nie patrząc komendy, runęli na nich przed siebie.

Jakoż szli.

Głuche warczenie bębna i przeszywające wysokie tony piszczałki oznajmiały ich w szerokiej ciszy poranku.

Za chwilę ukazały się forpocztę<sup>[22]</sup>, za forpocztami czarna, ruchoma, ciężko tętniąca masa waliła na nas potężną lawiną.

Nareszcie. Nareszcie mieliśmy ich przed sobą na oko.



Nic bardziej męczącego dla partyzanta, nic mniej zgodnego z ogniem, który go trawi, jak dalekonośna broń palna. Tu się wszystko w tobie trzęsie, każda żyłka drży osobnym gwałtem, tu gniew skowyczy w tobie i do gardła ci jak zły brytan skacze, tu ci krew bałwanami w serce wali i w mózg konwią chlusta.

Zawyłybyś, jak wilk borowy, żebyś jeno głos za zęby puścił, a tu stój płotem i czekaj, aż z tego płotu kołki po jednemu wybijają zacząną, milion kroć czartów rogatych!

Przepuść, Chryste Panie...

To dobre dla armji, dla regularnego żołnierza, który na żołdzie stoi i z przymusu pod karabin idzie. Takiemu wszystko jedno, kiedy, za co i do kogo strzela. On nic nie okupuje dla siebie ani życiem swoim, ani śmiercią. Zwycięstwo nie jest triumfem jego nadziei, porażka nie jest jej klęską.

Strzela, nabija, znów strzela, bez tych gryzących do żywego bodźców, które partyzantem, walczącym o wolność, szarpia. Cała duchowa treść boju jest mu obojętna, obca. Walczy bez nienawiści, zwycięża bez upojenia, ginie — bez idei.

Ten może stać. Może stać i czekać. Ale nam, cośmy się z tym bojem we krwi narodzili, co nim i ku niemu dyszymy wiek cały, nam, którzy mamy do okupienia śmiercią najwyższe dobro żywego narodu, nam bić się w pędzie, w porywie, w płomieniu odręcznego starcia, w zapamiętaniu gniewu, w zawierusze, w pianach krwi, w kurzawie, pierś w pierś, koń w konia, oko w oko z wrogiem.

— Gdyby tak szabla! — rzekł porucznik Jaczynowski, z którym my, stojąc przy sobie, gadali o tem właśnie. — Gdyby pistolety! Gdyby chociaż z pięściami runąć kroć tysięcy...

.....

Była ranna dziesiąta godzina, kiedy gruchnęły pierwsze karabinowe strzały.

Odpowiedzieliśmy wściekłą salwą naszych wybornych sztucerów.

Zakotłowały się, skłębiły szeregi nieprzyjacielskie. Czoło kolumny zaryło się w ziemię.

Po tej wstępnej wymianie strzałów — chwila ciszy.

Nieprzyjaciel orjentował się widocznie co do naszej siły i pozycji.

Bęben tylko warczał zajadle, a piszczałki uderzały w wysokie, alarmowe tony.

Po chwili nowy wybuch kul, prochu, wściekłości.

Teraz dopiero bitwa rozpętała się w stugromową burzę. Kłęby dymów zasnuły niebo brudną, ciężką chmurą, skroś której nieprzerwany wytrysk ognia z luf karabinowych. Przestałem widzieć, słyszeć, przestałem czuć zgoła.

Trzęsienie ziemi, orkan, pożar, nawałnica, piorun śmierci, bijący zewsząd w każdą głowę. Sto razy mogłeś być zabity i nie wiedzieć o tem, póki by ci z mdlejącej ręki nie wyleciał sztucer.

Oczy rozgorzałe, usta do krwi zacięte, palce na cynglu drgające, wybuchy głosów dzikie, bezwolne, niepoohamowane.

A tamci padali w ciszy, nakryci głuchem warczeniem bębna, który bełkotał w powietrzu, jak kipiący wrzątek. Gdy padli, nowe szeregi dawały krok naprzód i padały znowu. Niezbyt szeroka kolumna nie zmieniła kształtu, choć strzały nasze nietylko raziły jej czoło, ale ją ze stron obu oskrzydlały latającą śmiercią. Genjalnie była pomyślana ta nasza linja żórawianego klucza pod borami.

Zarówno front, jak flanki<sup>[23]</sup> nieprzyjaciela odkryte były naszym kulom, dając nam przewagę strzałów trzech na jeden.

Suzin nie strzelał. Nie nosił broni, ani munduru, jako apostołczyk. On sam był wybuchem, pociskiem, pędem i celnością strzałów. Chodził pomiędzy nami, jak żywy płomień bitwy, rozgorzały, rwący, bohatersko piękny z tem wyniosłem, otwartem czołem, jak to we zwyczaju miał, rzadko tylko, czasu niepogody nakrywając głowę.

We wzroku jedynie palił się pożerczy ogień oczekiwania, a niepokój leżał, jak czarna plama, na samem dnie błękitnej źrenicy.

— Nic... Nic dotychczas... Żadnej wiadomości... — szepnął mi, przechodząc мимо, a szept ten miał wyrazistość śmiertelnego krzyku.

Jakoż dochodziła druga z południa, a umówionych posiłków nie było.

Od chwili do chwili gorejące oczy Suzina, wytężone w stronę jezior, przebijały dalekość, jaka je od nas dzieliła. Ani Lander przecież, ani Kijański znaku życia nie dawali stamtąd.

Upał tymczasem wzmógł się niesłychanie. Podały się wysuszone usta, gorzały zeszywniałe języki, pot zalewał oczy. Donosiły wprawdzie kosyniery wodę z bajorków<sup>[24]</sup>, ale ta była zielona i gęsta. Wrzała tedy ziemia bitwą, a niebo pożarem; kto zaś padł, stygnął między tem dwojgiem na wieki.

Ja i Suzin zmienialiśmy się teraz przy lunecie, w jakiejś natężonej nadziei, która była prawie że rozpaczą.

Żeby chmurka pyłu od jezior, żeby poseł, żeby ptak lecący... Nic... Nic...

Jedno widoczne było to, że nieprzyjaciel zawsze jeszcze nas

trzyma za główną siłę Wawra, i że się tak co do liczby naszej, jak i co do istotnej pozycji nie orientuje zgoła.

Inaczej, byłby niezawodnie wykłuł nas bagnetami.

A i front byłby rozwinął inaczej.

My tymczasem mieliśmy ciągle przed sobą dość wąską kolumnę, w której pierwszym szeregu żywi luzowali poległych, aby polec sami.

Brał, zdaje się, nieprzyjaciel wierzchołek naszego kąta za główny korpus żołnierza, a boki jego za flanki odpowiednio silne.

Widząc zaś, jak trup gęsty pada, uważał się za oskrzydłonego i nie śpieszył zbyt ku nam w obawie, że otoczony i odcięty od traktu być może.

— Dajże wam Bóg Najwyższy za waszą ślepotę! — powtarzał porucznik Jaczynowski, przymrużając oko. — A ja mam i od siebie też... coś... na dokładkę...

Tu celował w akselbanty<sup>[25]</sup>, w gwiazdy, w co najgrubsze ryby<sup>[26]</sup>.

Ale i oni tego nas trzepali. Ilu tam padło naszych, nie policzę. Przy mnie, i co z najbliższych, padł Dowbor starszy z synem Hieronimem, padł Korniat Bukaniec, padło dwóch Margiewiczów, Zygmunt Dziewałtowski, padł Tadeusz Łukinia, Grzyguł, Puhatowicz. — Przerzedziły nas djablo gwardjacy<sup>[27]</sup>.

Nagle krzyk, tumult od bagien. Zmieszało się powietrze skroś huku wystrzałów.

To kosyniery tłukły wycieczkę, która nas podchodziła błotami.

Skoczyliśmy w kilku.

Widok był piekielny.

Ciężki żołnierz walił na kępki, które mu odmawiały oparcia, a z kęp w bagno bez ratunku chlupał.

Już po kolana, już po pas, już po ramiona... po szyję... Litwiny zaś, na suchym trzonie borowym stojące, dźgały ich ostrym sztykiem, druzgotały drzewcem, tak okrutny rozmach dając ramionom i garściom, że poły białych płótnianek furczały jak śmigi, w tym śmiertelnym młyńcu.

Wrzask, ryk, klątwy, zapamiętałe wybuchy głosów, wściekle miotanie się zapadających w bajory<sup>[28]</sup>, rżenie nawpół zduszonych, wysadzone na łeb oczy tych, którzy już po brodę zagrzęźli, strzały niemocne, ostatkiem siły dawane, trzaskanie czerepów, rozbijanych na płask brzeszczotami, dzika wrzawa unoszącego się chmurami ptactwa, przeciągłe jęczenie surmy — tworzyły potępieńczą scenę, od której słuch kołowaciał, a źrenice stawały się zimne i twarde, jak dwie bryły lodu.

Aż kiedy ciała zasieczonych, zadźganych, zatłuczonych i poduszonych w błocie uczyniły sobą pomost przez bagnisko, wstąpiły na nie pewną nogą chłopcy, a otarłszy rękawem pot wrzący z oblicza, jak to czasu kosowicy<sup>[29]</sup> bywa, na kosiskach — się sparły, i ciężko dysząc — wypoczywały po swej krwawej pracy.

A co i raz to głos jakowyś zachrypl:

— Nie damy!

I znów gdzieś dalej w kupie:

— Nie damy!

— Na śmierć nie damy!

Zawziętku, jaki w tych głosach dyszy, nie wypowie słowo.

I w rozchełstanych koszulach, w potarganych

hajdawerach<sup>[30]</sup>, porwanych rękawach, straszliwi koście wyciągają szyje, rozdymają nozdrza, węższą, oglądają, kogoby jeszcze tłuc.

Ale cichość śmierci była już naokół.

Raportowałem rzecz tę Suzinowi w ogniu i rozmachu bitwy. Znalazłem go chmurnym i zagasłym.

Słuchał, nie słuchał, a kiedy skończył — rzekł porywczo:

— A Kijańskiego na stanowisku niema. Nie przyjdzie.

— Kto mówił?

— Stary z Leśniczówki powrócił.

— Nie może być!

— Owszem, może. Nieprzyjaciele byli tam dziś w nocy. A choć do bitwy nie przyszło...

Przerwał i, ścisnąwszy dłońmi skronie, począł chodzić między dwiema sosnami, jak zwierz w klatce.

— Wawer!... Wawer!... — powtarzał. — Takich ludzi!

Jeszcze to mówił, kiedy nas dopadł Birsztejn z rozstrojoną i rozchmurzoną twarzą.

— Landera niema! — zawołał. — Żywej duszy tam niema! Nocą rano ruszyli, zasłyszawszy, że gwardja ciągnie.

Pod młodym Bułhakiem koń padł. On sam ranny. Na Dobkiszkach strzelali za nim.

Wyrzucił to z siebie jednym tchem i stał, dygocąc, w nieładzie pośpiechu.

A mnie jakby kto pałką w łeb zdzielił.

Nie o Bułhaka mi szło, i nie o Landera nawet, ale szło mi o Suzina.

Z rozpaczy. Teraz z rozpaczy ten człowiek...

Takem myślał.

Ale Suzin wyprostował się nagle, jakby nam w oczach urósł, odrzucił włosy z czoła pięknym swoim ruchem i rzekł spokojnym, silnym, męskim głosem:

— A więc dobrze. Padniemy sami. Nikt nam nie będzie pomagał umierać. Tak jest. Padniemy. Dobrze zrobił Lander, że się ratował. I dobrze zrobił Kijański, że się ratował. Przydadzą się ojczyźnie. Nam — tu los...

Pomilczał chwilę, a potem rzekł rześkim głosem:

— Do roboty, moi panowie! Kulki latają, nie czas gadać.

I pewnym krokiem poszedł do lunety, ani dbając, że istotnie kule mu świstały nad głową.

Już od lunety zwrócił się ku strzelcom:

— Po szlifach, panowie! Po szlifach! W starszyznę celować, po galonach! Górnio!

Jakoby więc oliwy do ogniska dołał, tak zawrzało na linii, tak wysoko buchnął płomień bitwy. Salwa za salwą piorunami biła. Strzelcy mimowolnym porywem wystąpili naprzód. Nawałność śmierci rzucała grom po gromie. Dym skłębił się tak gęsty, że aż czarny prawie.

Powietrze tchnęło siarką.

Już pierwszy impet bitwy uniósł był z sobą ową pianę krwi, owo męczące naprężenie nerwów. Strzelano teraz z morderczym spokojem.

Broń, której wyborne przymioty zyskiwały na tym spokoju niezmiernie, biła w cel z jakąś straszliwą niezawodnością. Zdawało się, że w huku każdej salwy śmierć wymawia słowa twarde, ostateczne i żywot gaszące. Zdawało się, że to ona sama posuwa się niepochybnie w szeregi naszych ku nieprzyjacielowi.

Jakoż, po każdym wybuchu strzałów ludzie dawali krok

naprzód, bez komendy, bez wiedzy nawet może, parli potężną, gwałtownie rozwijającą się dynamiką<sup>[31]</sup> bitwy.

Poczuł nieprzyjaciel wzmożone tętno; poczuł jej gorącość i jej chłód śmiertelny. Musiał też spostrzec ruch strzelców prawie że zaczepny i wytłumaczył to prawdopodobnie nadejściem posiłków, które, po odparciu przez kosynierów ataku na bagnety, wolny przystęp ku borom znaleźć sobie mogły.

Jakoż kolumna nieprzyjacielska zaczęła się mieszać.

Widać było, jak się od niej odrywają rotę, odkomenderowane dla osłony boków, straszliwie przez nas przazonych. Widać było, jak świetne plamy oficerskich mundurów przenoszą się gorączkowo z miejsca na miejsce.

Około godziny piątej natężenie bitwy doszło do ostatnich granic. Twarze strzelców uczyniły się lśniąca, szare, zbyły wprost ludzkiego wyrazu; w głęboko zapadłych oczach gorzał zimny ogień palącemu się próchnu podobny. Chrapliwy świst dobywał się z wyschłych gardzieli pod ogłuszającym hukem i warkotem powietrza, które się trzęsło i grzechotało w sobie, jak gradowa chmura.

Ta jedna godzina wściekłej tyraljerki uczyniła w szeregach nieprzyjacielskich wyłom większy niż wszystkie poprzednie.

Była prawie że wygrana.

Pozycja nasza, mimo poniesionych strat, przedstawiała się dobrze. Z trzech sekcji kosynierów dwie stały za linią strzelców w odwodzie, trzecia broniła bagien, gdyż powtórnej próby obejścia nas błotami zawsze jeszcze można się było obawiać.

A potem — bór!



Z borem, choć strzelcy w gorącości boju wystąpili dość znacznie w pole, byliśmy ściśle przez kosynierów złączeni. Kosami w bór wparci.

Sosny, buki, dęby stały za nami, jak potężne wojsko.

Każdy pień był żołnierzem, każdy konar bronią.

Dochodziła szósta, kiedy strzały nieprzyjacielskie zesłały. Osiem godzin morderczej walki wyczerpały i tego żelaznego żołnierza. Jeszcze ogień karabinowy tęgo nas prażył, ale nie był głęboki, nie sięgał wnętrza kolumny. Zaczem dymy zaczęły się przecierać, powietrze ochłodziło nieco, straszny huk w jego czeluściach rozchodził się coraz szerszemi, coraz bardziej zacichającymi kręgami.

Starszyzna galopowała teraz ku Staciszkom; młodzi oficerowie oganiali konno kolumnę.

— Do widzenia, panowie! — krzyknął porucznik Jaczynowski i celnem swoim przymrużonem okiem posłał kulinę jakiemuś oficerzynie na wieczną waletę<sup>[32]</sup>.

Ale kosyniery, rozgorzałe walką u bagien, nie mogły dotrzeć w spokoju. Coraz ostrzej szczękały za nami kosy, coraz zajadlej odzywały się groźne pomruki i pokrzykiwania. Szalony pęd bitwy porywał ich, ponosił.

W zupełnem zapamiętaniu parli na linię frontową, krzycząc wściekli:

— Hu!... Hu!... Kupą!... Bij!... że bór grzmiał od ściany do ściany.

Była to jakaś straszna obława śmierci, zagarniająca sobą całe pole walki; jakiś piekielny kociel, który się zwęzał i zacieśniał potworną naganką.

Już między ramionami strzelców wyblęły nastawione

drzewce, gotowe siec, kłuć, miażdżyć łby w odręcznym i pojedyńkowym boju. Już strzelcy, parci tą walącą na nich ścianą, z trudnością utrzymują się w pozycji.

— Kupą na nich!... kupą!... — grzmi na całej linii.

Potworzyły się wrzące kłęby ludzi i broni, które pękały kartaczowym ogniem wśród straszliwych, oślepiających młyńców rozmachanych nad głowami brzeszczotów.

Gdyby nie Suzin, byłoby to runęło przed siebie własnym rozmachem.

Suzin podskoczył ku nim z powstrzymującym ruchem podniesionej ręki.

Widzę go dotychczas...

Koszula na nim niebieska, szeroki pas lakierowany, głowa odkryta, czoło promieniejące w złocistych blaskach zachodu.

Bezbronny biegł, od lewej ku prawej ścianie boku, gdy wtem huknęła cała salwa strzałów.

Padł spiorunowany.

Rzuciliśmy się do niego.

— ...Nic... Nic... — rzekł z wysiłkiem i zaciął usta boleśnie.

A po chwili:

— ...Musiało się stać...

Ktoś rozerwał na nim koszulę, pas.

Dwie kule wziął w piersi, a w prawy obojczyk trzecią.

Chcieliśmy go ruszyć z ziemi — nie dał.

Tymczasem, na wieść o nieszczęściu, rozpadły się one wrzące kłęby, a kosyniery, nagle ostygłe, otoczyły nas dookoła, ściskając w rękę kosiska, a trzęsącemi usty szepcząc zaklęcia, modlitwy...

Powiódł po nich Suzin gasnącem wejrzeniem.

— ...Dzieci moje... — zaczął i urwał, dech tracąc.

I my dech tracili, patrząc z rozpaczą w to drogie oblicze...  
Nagle błysk życia w niem zaświecił. Suzin podniósł się na łokciu.

— Zwinąć front! — zaczął silnym głosem. — Posiłki nie przyjdą. Błotami się do Wawra przebierać. Oddam chorągiew... oddziału... panie chorąży... Czarną...

Umilkł. Głowa opadła mu na ramię.

Staliśmy pochyleni, tłumiąc łkanie. Wielu płakało głośno.

Jedne tylko kosyniery trzymały się twardo, twarze mając nieruchome, skamieniałe jakby.

Raz jeszcze otworzył Suzin oczy, spojrział po nas.

Spojrzenia tego nigdy nie zapomnę.

Zaczem wyprężył się, a wzniósłszy wysoko dla nabrania powietrza pierś nagą —

— Litwa niech żyje! — zawołał głosem wielkim — i opadł.

Rzuciliśmy się do niego...

Zgasł. Skonał.

.....

Chcieli strzelcy unieść drogie zwłoki, kiedy ruszyły się ciężkim krokiem kosyniery.

— Nasz jest! — rzekł stary Jurkszta.

Nikt nie śmiał mu przeczyć.

Więc, odwróciwszy się ku swoim, krzyknął:

— Za-du-waj!...

I zaraz skrzyżowali drzewce kos, narzucili na nie choiny, a dźwignąwszy drogą głowę, złożyli ciało na ciemnej zieleni.

Słońce staczało się z horyzontu w ogromnych blaskach, kiedy zaduła w głębi boru surma sroga i żałosna, a pod jej

przeciągłym jękiem podjęły kosyniery nosze i milcząc w bór poszły.


---

## Przypisy

1. ↑ Partyzantka — wojna podjazdowa, prowadzona przez oddziały ochotnicze na własną rękę.
2. ↑ Partja — oddział powstańczy.
3. ↑ Krótki karabin, silnie bijący.
4. ↑ Kozia noga — widełka, podstawka, na której opierano broń podczas strzelania — broń starszego systemu.
5. ↑ Przeciwnicy.
6. ↑ Niebardzo.
7. ↑ W łapciach.
8. ↑ Brzeszczot — ostrze szabli, klinga.
9. ↑ Odwrócić uwagę wroga w inną stronę.
10. ↑ Sekundować — towarzyszyć, pomagać.
11. ↑ Bagnety (rosyjsk.).
12. ↑ Trzciny.
13. ↑ Miejsce, wypalone przez pożar w lesie, na gruncie błotnistym.
14. ↑ Miejsce błotniste, które nie zamarza.
15. ↑ Gołoborze albo golaźń — pole po lesie wykarczowanym.
16. ↑ Straż.
17. ↑ Osierdzie, błona otaczająca serce.
18. ↑ Surma — starodawna trąba metalowa, obszyta skórą
19. ↑ Dmij.
20. ↑ Sitowie.
21. ↑ Skrzydła.
22. ↑ Straże przednie.
23. ↑ Boki, skrzydła boczne linji bojowej.
24. ↑ Z bagienek.
25. ↑ Sznury, przewieszane przez prawe ramię, w celu zaznaczenia stanowiska

wojskowego, najczęściej adjutanta.

26. ↑ T. j. w oficerów szarż najwyższych.
27. ↑ Gwardziści, żołnierze pułku gwardyjskiego.
28. ↑ Bajor — bagno, trzęsawisko.
29. ↑ Kosowica — czas koszenia zboża.
30. ↑ Hajdawery — szerokie spodnie.
31. ↑ W znaczeniu: siłą żywiołową.
32. ↑ Waleta — pożegnanie.

 Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Maria Konopnicka](#).

# O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)<sup>[1]</sup>. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Hrabiątko. Jak Suzin zginął](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)<sup>[2]</sup>.

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)<sup>[3]</sup>

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)<sup>[4]</sup>.

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ajsmen91
- Sempai5
- Himiltruda
- Wieralee
- Ankry
- Sp5uhe
- Tommy Jantarek

- 
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
  2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
  3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze\\_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
  4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)